

# KOSZMAR W RED HOOK



*Wierzę, iż istnieją w nas sakramenty tak dobra, jak i zła, gdyż żyjemy i poruszamy się w nieznanym świecie, miejscu pełnym jaskiń, cieni i wędrowców nocy. Jest rzeczą możliwą, iż człowiek powróci kiedyś na drogę ewolucji i wierzę, iż owa okropna nauka jeszcze nie umarła - Artur Machen*

1

Niedawno, zaledwie kilka tygodni temu, na rogu ulicy, w miasteczku Pascoag, w Rhode Island, wysoki, mocno zbudowany, krzepko wyglądający przechodzień, swym dziwnym zachowaniem wzbudził liczne spekulacje. Wydaje się, iż zszedł ze wzgórza, przy drodze do Chepachet, a znalazłszy się wśród domów, skręcił w lewo, w główną aleję, gdzie kilka skromnych budynków biurowych tworzy złudną atmosferę miejskości. I nagle, bez widocznych powodów, uczynił coś zdumiewającego. Wpatrując się dziwnym wzrokiem w najwyższy z budynków znajdujący się przed nim, zaczął wydawać przeraźliwe, histeryczne wrzaski, po czym puścił się pędem, lecz dotarłszy do następnego skrzyżowania, potknął się i upadł. Po podniesieniu i otrzeptaniu z ziemi przez wrażliwych przechodniów, stwierdzono, iż był przytomny, bez widocznych obrażeń, i najwyraźniej już uleczony z dziwnego nerwowego ataku. Zawstydzony, wymamrotał pod nosem słowa przeprosin za swoje zachowanie wynikające - jak powiedział - z napięcia w jakim się znajdował, po czym nie oglądając się za siebie, zawrócił w kierunku Chepachet Road. Był to dziwny przypadek, zwłaszcza, że jego ofiarą padł z wyglądu zdrowy, normalny mężczyzna, a odmienność tego zdarzenia podkreślał jeszcze fakt, iż jeden z przechodniów rozpoznał w nim pensjonariusza zamieszkującego u dobrze znanego mleczarza, na przedmieściach Chepachet.

Mężczyznę, jak dowiedziono, był nowojorski policjant Thomas F. Malone, obecnie na dłuższym urlopie, w czasie którego leczył się po wykonaniu niezwykle uciążliwego zadania.

Podczas typowego policyjnego nalotu zaważyło się kilka starych ceglanych budynków; utrata życia, tak "mieszkańców", jak i kolegów, wywołała w nim głęboki i nader rzadki uraz, polegający na tym, iż na widok większych budynków, nawet nieznacznie przypominających te, które runęły, popadał w psychozę strachu. Koniec końców, specjaliści w dziedzinie chorób umysłowych zakazali mu na czas bliżej nie określony patrzenia na tego typu budowle. Policyjny chirurg, mający krewnych w Chepachet zasugerował, iż oryginalny zaścianek drewnianych kolonialnych domków jest idealnym miejscem do psychologicznej rekonwalescencji; z tej przyczyny policjantowi, aż do czasu przezwyciężenia dolegliwości nic wolno było zapuszczać się na otoczone ceglanyimi budynkami uliczki większych miast i musiał pozostawać w regularnym kontakcie ze specjalistą z Woonsocket. Spacer po Pascoag był błędem, a pacjent za swe nieposłuszeństwo zapłacił przerażeniem, siniakami i upokorzeniem. Tyle głosiły plotki rozchodzące się w Chepachet i Pascoag, to wiedzieli i w to wierzyli specjaliści, a w każdym razie większość z nich. Malone początkowo chciał opowiedzieć lekarzom dużo więcej, całą historię. Kiedy jednak stwierdził, że jedyną reakcją z ich strony jest absolutna nieufność i niewiara, postanowił trzymać język za zębami i nie zaprotestował, kiedy lekarze generalnie zgodzili się, iż jego załamanie nerwowe zostało spowodowane faktem zawalenia się kilku ceglanych domów w Red Hook w Brooklynie i wynikała zeń śmierć funkcjonariuszy policji. Pracował zbyt ciężko - stwierdzili jednomyślnie - usiłując oczyścić te gniazda chaosu i przemocy - niejednokrotnie narażony na silne wstrząsy, a ta nieoczekiwana tragedia była ostatnią kroplą, która przepelniła czarę. Było to proste wytłumaczenie, zrozumiałe dla wszystkich; Malone uznał, iż w tej sytuacji, inne

nie wchodzi w rachubę. Sugerowanie ludziom pozbawionym wyobraźni, koszmaru przekraczającego ich zdolności pojmowania - koszmaru domów, dzielnic i miast przeżartych trądem i rakiem zła przywleczonego ze Starszych Światów, zamiast do przytulnego wiejskiego domku przywiodłyby go do obitej gąbką celi bez klamek, a Malone, pomimo swego zamiłowania do mistycyzmu, był człowiekiem inteligentnym i rzeczowym. Posiadał ponadto certyfikat dar postrzegania tego co dziwne i zakryte. Przydało mu się to niejednokrotnie w jego czterdziestodwuletnim życiu i posyłało absolwenta uniwersytetu dublińskiego, urodzonego w georgiańskiej willi opodal Phoenix Park, do różnych, nader osobliwych miejsc.

---

## [Początek] [Rozdział 2 ->]

### 2

Dla Malone'a, wrażenie ukrytej tajemnicy w istnieniu było stale obecne. W młodości czuł sekretne piękno i ekstazę otaczającego go świata i... był poetą, niemniej jednak nędza, smutek i wygnanie, których doświadczał sprawiły, iż skierował swą uwagę ku mroczniejszym rzeczom, i zaczął interesować się przejawami obecności zła na świecie. Uważał za zabawny fakt, że wiele osób szcycących się wyższym poziomem inteligencji, drwiło z najbardziej dziwnych tajemnic, bo -jak twierdził - gdyby genialne umysły zdołały wejść w pełniejszy kontakt z mocami chronionymi przez prastare kultury, powstałe w wyniku tego anomalie nie tylko obróciłyby w perzynę nasz świat, ale wręcz zagroziłyby integralności całego wszechświata.

W czasie, kiedy przydzielono go do komisariatu przy Butler Street, w Brooklynie, jego uwagę przykuła sprawa Red Hook.

Red Hook to labirynt slumsów znajdujących się przy starym nabrzeżu, naprzeciw Governor's Island, skąd brudne, zakurzone uliczki pną się od mola na zbocza pagórka, stamtąd zaś zapuszczone zaułki Clinton i Court Streets odchodzą w kierunku Borough Mali. Domy są tu głównie ceglane, pochodzące z pierwszej połowy dziewiętnastego stulecia, zaś niektóre z zaułków i bocznych uliczek jakie się tu znajdują, emanują powabnym, prastarym zapachem, zwanym powszechnie "dickensowskim". Mieszkańcy stanowią przedziwną enigmatyczną mieszankę: przemieszani między sobą Syryjczycy, Hiszpanie, Włosi i Murzyni, a do tego wąskie pasma zabudowań zamieszkałych przez Skandynawów i Amerykanów. Istna wieża Babel hałasu i brudu, śląc dziwaczne okrzyki w odpowiedzi na szum oleistych fal rozbijających się o posępne nabrzeże i monstrialne, organowe litanie zawodzących syren w zatoce. Dawno temu okolica ta wyglądała dużo lepiej - zamieszkiwali ją marynarze o przenikliwych spojrzeniach, domy na wzgórzu zaś, prezentowały się dumnie i dostojnie. Nawet dziś można jeszcze dostrzec ślady dawnej szczyślności w smukłych kształtach budynków, dostojnych niegdyś kościołów i drobnych, acz zauważalnych artystycznych szczegółach architektury: zniszczonych schodach, nadzartych przez korniki drzwiach, rozsypujących się pilastrach dekoracyjnych kolumn czy fragmencie zielonej ongi przestrzeni trawnika, z pogiętym i nadzartym rdzą żelaznym płotkiem. Domy generalnie rzecz biorąc, stoją solidnymi blokami, a wznoszące się tu i ówdzie wielookienne kopuły przypominają dawne dni, kiedy to przebywający w domach szprowie i właściciele statków obserwowali morze.

Z tego właśnie chaosu biją ku niebu setki głosów w setkach dialektów. Tabuny awanturników i amatorów rozmaitych rozrywek przewijają się, krzycząc i śpiewając, wąskimi alejkami i zaułkami; od czasu do czasu, nieśmiało dłonie nieoczekiwanie gaszą światło i zaciągają zasłony, a ogorzałe, naznaczone grzechem twarze znikają z okien, kiedy goście decydują się zajrzeć do środka. Policjanci rozpaczliwie starają się zachować tu jako taki porządek, ale miast cokolwiek zmienić woleliby chyba otoczyć cały ten rejon zasiekami, by uchronić zewnętrzny świat przed skażeniem. Odgłosom patrolu towarzyszy upiorna cisza. Aresztanci - jeśli już się zdarzają, również zwykle zachowują grobowe milczenie. Popołnione tu przestępstwa są tak różne, jak dialekty jakimi posługują się mieszkańcy, i oscylują od szmuglowania rumu i nielegalnych imigrantów, poprzez rozmaite przejawy aktów bezprawia i przemocy, aż po morderstwa i najbardziej odrażające formy zbrodni z okaleczeniem zwłok. Fakt, iż sprawy te dość rzadko wychodzą na jaw nie przynosi chluby okolicy - chyba, że uznaloby się za chlubę umiejętność zatajania różnych zdarzeń. W Red Hook więcej ludzi się zjawia, niż je opuszcza, w każdym razie o własnych siłach, a największą szansę na wyjście stąd na własnych nogach mają ci, którzy trzymają język za zębami.

Malone wyczuł w tym chaosie słabą acz uchwytną woń tajemnicy, bardziej przerażającej aniżeli wszelkie grzechy wyznawane przez mieszkańców i oplakiwane przez kapłanów czy filantropów. Jako człowiek łączący wyobraźnię z naukową wiedzą, miał świadomość, że nowocześni ludzie, tam gdzie panowało bezprawie, przejawiali niewiarygodną wręcz skłonność do powtarzania w codziennym życiu i rytualnych obrzędach najmroczniejszych, instynktownych form kultów wyznawanych przez prymitywnych, na wpół małpich dzikusów. Często, czemu towarzyszyło typowe dla antropologa pełne niepokoju wyczekiwanie, przyglądał się śpiewającym, klnącym procesjom młodych ludzi o kaprawych oczach i ospowatych twarzach, przemierzających ulice w mrokach przedświt. Grupki tych młodzieńców można było dostrzec niemal nieustannie: czasami zbierali się na rogach ulic, kiedy indziej, gromadzili się w bramach, grając dziwną muzykę na tanich i marnych instrumentach, innymi razy znowu, siedzieli jak otepiali, lub rozmawiali na nieprzyzwoite tematy, przy stolikach na zewnątrz kafeterii, opodal Borough Mali, niekiedy zaś, szeptali o czymś przy brudnych, zdezelowanych taksówkach, stojących pod starymi, zmurszałymi budynkami, których okiennice zamknięte były na głucho. Przyprawiali go o dreszcz i fascynację bardziej niż ośmielał się przyznać swoim współpracownikom w policji, gdyż zdawał się dostrzegać w nich jakąś monstrialną nić sekretnej ciągłości; jakiegoś złowieszczego, diabelskiego, tajemniczego i prastarego wzorca wykraczającego poza i ponad zbitą masę posępnych faktów, pełnych grozy, okrucieństwa i makabry, gromadzonych skrzętnie w surowych policyjnych raportach.

Czuł w głębi duszy, iż muszą oni być spadkobiercami jakiejś szokującej i pierwotnej tradycji, wyznawcami zapomnianych szcztątkowych kultur, uprawiającymi ceremonie starsze niż cała ludzkość. Sugerowała to ich konsekwencja i precyzja; wskazywało na to równie/, osobliwe podejrzenie ładu i porządku zakamuflowane pod pozorami zewnętrznego chaosu.

Nie na próżno czytał traktaty takie jak "Kult wiedźm w zachodniej Europie" panny Murray i wiedział, że wśród chłopów i w niektórych kręgach w miastach istniały po dziś dzień przerażające i sekretne stowarzyszenia, zbierające się i uprawiające rytuały pochodzące z mrocznych kultów wcześniejszych jeszcze niżli świat Arian i pojawiające się w popularnych legendach pod nazwami Czarnych Mszy i Sabatów Czarownic. Ani przez chwilę nie wątpił, że te piekielne relikty starej, turańsko - azjatyckiej magii i kultów płodności nie umarły i częstokroć zastanawiał się, o ileż starsze i o ileż mroczniejsze od najgorszych, szemranych historii, mogły być niektóre spośród nich.

---

[<- **Rozdział 1**] [**Początek**] [**Rozdział 3** ->]

3

To sprawa Roberta Suydama sprawiła, iż Malone znalazł się w samym sercu wydarzeń w Red Hook. Suydam był wykształconym odludkiem pochodzącym ze starej holenderskiej rodziny, ongiś posiadającej śladową niezależność, i zamieszkującym przestronną acz kiepsko utrzymaną posesję, którą jego dziad wznosił we Flatbush. Było to w czasach, kiedy jeszcze miasteczko stanowiło niewielką osadę kolonialnych cottage'ów okalających strzelisty, i porośnięty bluszczem kościół reformowany, z otoczonym żelazną siatką cmentarzem pełnym niderlandzkich grobowców.

W swojej samotni znajdującej się z dala od Martense Street, okolonej zieleńcem porośniętym sędziwymi drzewami, Suydam gnuśniał i ślęczał nad księgami przez sześć dekad, za wyjątkiem okresu, kiedy to, pokolenie temu, wyruszył w podróż do Starego Świata i znikł tam, na całe osiem lat.

Nie stać go było na służących, i rzadko kto go odwiedzał, unikał bliższych znajomości, a swych nielicznych gości przyjmował w jednym z trzech, w miarę porządnie utrzymanych pokoi na parterze; ogromnej bibliotece o wysokim sklepieniu, której ściany zastawione były starymi, zniszczonymi książkami traktującymi o mrocznych, archaicznych i nierzadko odrażających kultach.

Powiększenie się miasta i ostateczne wchłonięcie przez dzielnicę Brooklynu nic dla niego nie znaczyło, a i on zaczął znaczyć dla miasta coraz mniej. Starsi ludzie wciąż jeszcze rozpoznawali go na ulicy, ale dla większości mieszkańców był jedynie dziwacznym, korpulentnym staruszkiem, którego rozwichrzone siwe włosy, szczeciniasta broda, lśniące, czarne odzienie i laska ze złotą gałką budziły na twarzach przechodniów uśmiešek rozrzewnienia i nic poza tym. Malone nie widział go, dopóki nie został przydzielony do sprawy, niemniej jednak słyszał o nim jako o absolutnym autorytecie w dziedzinie przesądów i demonologii średniowiecznej. Miał raz nawet okazję przejrzeć jego skrypt (nakład wyczerpany) traktujący o kabale i legendzie Fausta, który jego przyjaciel z wydziału znał wyrywkowo na pamięć.

Suydam stał się "sprawą", kiedy jego dalecy i jedyni krewni wystąpili do sądu o jego ubezwłasnowolnienie. Ich poczynania, dla zewnętrznego świata, mogły wydawać się nagłe i gwałtowne, niemniej poprzedziły je długotrwałe obserwacje i smutne, poważne dysputy.

Podstawę stanowiły pewne, dziwne okoliczności tego co mówił: szalone wzmianki o zbliżających się cudach i niezliczonych nawiedzeniach w zapuszczonej, odrażającej brooklyńskiej dzielnicy. W miarę upływu czasu wyglądał coraz bardziej niechlujnie, obecnie przypominał pospolitego żebraka. Jego zaniepokojeni przyjaciele widywali go niekiedy na stacjach metra, lub przesiadującego na ławeczkach wokół Borough Mali, pogrążonego w rozmowie z grupkami śniadoliczy, złowrogo wyglądających cudzoziemców. Majaczył o niewyobrażalnej potędze znajdującej się nieomal w zasięgu jego ręki i z głębokim przekonaniem powtarzał tak mistyczne słowa czy imiona jak "Sephiroth", "Ashmodai" i "Samael". Postępowanie ujawniło, że wykorzystał swoje zasoby materialne, a cały kapitał zużył na nabycie osobliwych ksiąg importowanych z Londynu i Paryża, i znajdujących się obecnie w jego domu w Red Hook. Spędzał tam prawie każdą noc przyjmując delegacje składające się z przedziwnej mieszanki miejscowych awanturników i cudzoziemców i, jak wszystko na to wskazywało, za zielonymi żaluzjami sekretnych okien swojej posesji odprawiał tajemnicze ceremonie. Detektywi, którzy mieli go śledzić donieśli o przerażających okrzykach, śpiewach i tupocie stóp towarzyszących owym nocnym rytuałom, i pomimo iż w tej dzielnicy niezwykle orgie czy obrzędy były na porządku dziennym, wszystkich, bez wyjątku, poruszyła a także zaniepokoiła towarzysząca im ekstaza.

Przesłuchanie Suydama niewiele jednak dało. Przed obliczem sędziego jego maniry stały się racjonalne i układne; przyznał się do dziwnego zachowania i ekstrawaganckiego języka, będących - jak stwierdził - wynikiem nadmiernego oddania badaniom naukowym.

Oznajmił, że zajmował się studiami nad pewnymi elementami europejskiej tradycji, wymagającymi możliwie najgłębszego kontaktu z grupami cudzoziemców, ich pieśniami i tańcami ludowymi. Sugerowanie - tak jak to czynili jego krewni - iż stał się ofiarą jakiegoś okrutnego, tajemniczego stowarzyszenia było totalnym absurdem i ukazywało jak żałośnie ograniczone było ich pojmowanie tak jego, jak i jego pracy. Po spokojnym udzieleniu tych wyjaśnień, został uwolniony od zarzutów i zwolniony, a detektywi wynajęci przez Suydamów, Corlearów i Van Gruntów, odsunięci od sprawy.

W tym właśnie miejscu, wskutek przymierza między inspektorami federalnymi a lokalną policją, do akcji włączył się Malone. Policja z zainteresowaniem śledziła poczynania Suydama i niejednokrotnie w różnych przypadkach udzielała pomocy prywatnym detektywom. Podczas dochodzenia stwierdzono, że większość nowych współpracowników Suydama wywodziła się spośród najbardziej zatwardziałych przestępców z najciemniejszych zaułków Red Hook, a co trzeci z nich był recydywistą, skazanym za kradzieże, chuligaństwo bądź szmuglowanie nielegalnych imigrantów. Krótko mówiąc, krąg ludzi, którymi otaczał się Suydam składał się niemal w zupełności z mętów tamtejszego półświatka, najgorszych szumowin trudniących się szmuglowaniem takich samych jak oni, bezimiennych azjatyckich łajdaków, których roztropnie zawrócono z Wyspy Ellis.

W dzielnicy ruder - zwanej, od niedawna, Parker Place - gdzie Suydam miał swoją posesję, rozrosła się nader osobliwa kolonia niesklasyfikowanych skośnookich indywiduów, używających arabskiego alfabetu, acz znacząco omijanych przez spore grupki Syryjczyków zamieszkujących na Atlanta Avenue i w okolicy. Wszyscy oni mogli zostać deportowani z braku odpowiednich dokumentów, ale prawo jest ogólnie nierychliwe i nic narusza pozornego spokoju Red Hook, jeżeli nie zostanie do tego zmuszone przez opinię publiczną.

Indywidua te odwiedzały stary, zapuszczony kamienny kościółek, który we środy pełnił funkcje tancbudy, i którego tylne gotyckie szkarpy wychodziły na najbardziej mroczną i ohydną część nadbrzeżnej dzielnicy.

Kościół był z założenia katolicki, niemniej księża w całym Brooklynie odmawiali temu miejscu autentyczności i należytej powagi, a policjanci, którzy słyszeli hałasy dobiegające nocami z budynku, w zupełności podzielali ich opinię. Malone miał wrażenie, iż kilkakrotnie słyszał rzępolące jazgotliwie nuty organów ukrytych gdzieś w podziemiach gmazyska, zaś kiedy kościół stał pusty i nieoświetlony, wszyscy obserwatorzy ze zgrozą mówili o krzykach i odgłosach bębnow towarzyszących obrzędowi. Suydam, kiedy go przesłuchiwało stwierdził, iż jego zdaniem rytuał był pozostałością nestoriańskiego chrześcijaństwa z domieszką tybetańskiego szamanizmu. Większość tutejszych - jak przypuszczał - wywodziła się z rasy mongoloidalnej, zamieszkującej okolice Kurdystanu, zaś Malone mimowolnie przypomniał sobie, że Kurdystan jest krainą Yezydów, ostatnich ocalałych perskich wyznawców kultu Szatana, niezależnie jak było, nowe aspekty w sprawie Suydama wykazały niezbicie, iż nielegalni imigranci napływali do Red Hook coraz liczniejszymi grupami; dostawali się na brzeg dzięki jakiemś morskemu kanałowi przerzutowemu, omijając policję i straż przybrzeżną i błyskawicznie rozpełzali się po całym Parker Place, witani z zadziwiającą, wręcz bratnią zażyłością przez innych mieszkańców tej dzielnicy. Ich niskie sylwetki i charakterystyczne skośnookie oblicza, stanowiące groteskową kombinację w połączeniu z krzykliwym amerykańskim odzieniem jakie nosili, pojawiały się coraz częściej wśród wałkoni i zatwardziałych gangsterów z okolic Borough Hali. Koniec końców stało się koniecznością aby oszacować ich liczbę, określić pochodzenie, miejsce zamieszkania a także - jeżeli to możliwe - znaleźć jakiś sposób, aby ich wszystkich zgarnąć i przekazać odpowiednim władzom imigracyjnym. Do tego właśnie zadania federalna oraz lokalna policja przydzieliła Malone'a. Ten ostro zabrał się do dzieła i niebawem nabrał niepokojącego przekonania, że balansuje na krawędzi bezimiennego, nienazwanego koszmaru, a niechlujny, z wyglądu roztargniony uczoney nazwiskiem Robert Suydam jest jego głównym adwersarzem i prawdziwym wcieleniem Złego.

---

[<- Rozdział 2] [Początek] [Rozdział 4 ->]

4

Metody policyjne są różnorodne i pomysłowe. Malone, dzięki niezbyt ostentacyjnemu szwendaniu się po Parker Place, przypadkowym rozmowom, częstowaniu napotkanych przygodnie ludzi łykiem mocniejszego trunku z piersiówki i inteligentnym dialogom z przerażonymi więźniami, dowiedział się wielu różnych faktów dotyczących ruchu, którego poczynania stały się tak niepokojące, nowo przybyli faktycznie byli Kurdami, ale posługiwali się niezrozumiałym, trudnym do zidentyfikowania dialektem.

Aby zarobić na życie, nie pozostawało im wiele do wyboru - pracowali jako robotnicy na nabrzeżu albo jako domokrażcy, również czasami jako kelnerzy w greckich restauracjach lub sprzedawcy gazet, ze stoiskami na rogach ulic. Większość z nich jednak, zdawała się w ogóle nie pracować, i, co nie ulegało wątpliwości, miała kontakty z półświatkiem. Ich najbardziej intratnym i chyba najłatwiejszym do określenia zajęciem było szmuglowanie nielegalnych imigrantów czy przemyt alkoholu.

Przyplływali parowcami, zapewne trampami, i w bezksiężycowe noce dobijali do brzegu niewielkimi łodziami, a potem, ukrytymi kanałami dobijali do sekretnej podziemnej sadzawki w jednym z bezpiecznych domów. Malone nie był w stanie zlokalizować owego nabrzeża, kanału i domu, gdyż wyjaśnienia jego informatorów były nader chaotyczne, a ich słowotokowi z trudem mógł sprostać nawet najlepszy tłumacz; nie udało mu się również zdobyć żadnych konkretnych informacji co do powodu ich systematycznego napływu. Zachowywali powściągliwość jeśli chodziło o dokładne określenie miejsca skąd przybywali i nigdy nie dali się zbić z tropu na tyle, by zdradzić agencje, które ich wyłuskiwały i wskazywały drogę. Prawdę mówiąc, kiedy wypytywał o powody ich obecności tutaj, wyczuwał wyraźne zaniepokojenie.

Gangsterzy innej maści byli również małomówni i jedyne co udało mu się od nich wyciągnąć, to to, że jakiś bóg, czy wielki kapłan obiecał im niesłychane moce, nadnaturalną chwałę i władzę w obcym kraju. Mocne, ściśle strzeżone zebrania zarówno nowo przybyłych, jak i starych przestępców u Suydama, były bardzo regularne i niebawem policja dowiedziała się, iż niedawny odludek wynajął kolejne domy by zakwaterować w nich znajdujących odpowiednie hasło "gości".

W sumie miał teraz trzy domy w których permanentnie przebywały grupki jego osobliwych kompanów. Obecnie spędzał w swoim domu, znanym jako Halbush coraz mniej czasu, zjawiał się tam tylko by zabierać i odnosić książki; zaś jego oblicze i zachowanie nieoczekiwanie nabrało dzikiego, wściekłego wyrazu.

Malone dwukrotnie go przesłuchiwał, ale w obu przypadkach był dość obcesowo zbywany. Suydam stwierdził, że nie ma pojęcia o jakichkolwiek tajemniczych spiskach czy ruchach; nie wiedział w jaki sposób Kurdowie dostawali się do miasta, ani czego chcieli. Jego zadaniem było zbadanie, bez zakłóceń, badań nad folklorem emigrantów zamieszkujących dzielnicę; policja nie miała żadnych prawnych podstaw aby mieszać się w tę sprawę. Malone wyraził swój podziw wobec napisanej przez Suydama pracy na temat kabały i innych mitów, ale zdołał zmiękczyć go tylko na krótką chwilę. Uznał on bowiem pojawienie się Malone'a za zakłócenie spokoju i najnormalniej w świecie spławił swego gościa. Malone nie miał wyboru i musiał odwołać się do innych kanałów informacji.

Nigdy się nie dowiemy, co mógłby odkryć Malone, gdyby bez przerwy pracował nad tą sprawą. Nie mniej jednak, wskutek głupiego konfliktu pomiędzy władzami miejskimi a federalnymi, śledztwo na kilka miesięcy zawieszono, a detektyw musiał zając się paroma innym zadaniami. Ani na chwilę wszakże nie przestał się interesować Robertem Suydamem, i to co się z nim działo, napawało go bezgranicznym wręcz zdumieniem. Z chwilą kiedy Nowy Jork ogarnęła panika związana z falą porwań i zaginięć, niechlujny, zaniedbany uczoney przeszedł metamorfozę równie zadziwiająco, co absurdalną. Któregoś dnia zauważono go w pobliżu Borough Mali, ogolonego, ze starannie przyciętymi i ułożonymi włosami, ubranego w nienaganny i nader gustowny garnitur. Od tej pory każdego dnia zauważano w nim jakąś nową, drobną zmianę. Proces ten zachodził w nim praktycznie nieprzerwanie, i wraz z nagłym zamiłowaniem do schludności, pojawił się niezwykle błysk w oku, i dosadność mowy. Jednocześnie, Suydam zaczął regularnie pozbywać się nadmiaru kilogramów, które deformowały jego sylwetkę. Pomimo swego wieku krok miał teraz rażny i sprężysty niczym nastolatek; zupełnie jakby z nowym image powróciła doń, utracona dawno temu, pogoda i radość ducha, zaś jego włosy dziwnie pociemniały, choć nie wyglądało aby je farbował.

Mijały kolejne miesiące, a on ubierał się coraz mniej konserwatywnie i koniec końców zaskoczył swych nowych przyjaciół wyremontowaniem i odnowieniem swojej starej posesji Flatbush, na otwarcie której wyprawił serię przyjęć, zapraszając wszystkich znajomych, jakich tylko udało mu się spamiętać, nie zapomniał też o dziwo, o swoich krewnych, którym najwyraźniej zupełnie przebaczył, a którzy jeszcze tak niedawno usiłowali go ubezwłasnowolnić.

Jedni zjawili się z ciekawości, inni z obowiązku, wszystkich jednak oczarowała rodząca się gracia, układność i wytworność dawnego odludka. Zapewnił on, że jego praca jest już w zasadzie na ukończeniu, a jako iż właśnie uzyskał starą posiadłość, w spadku po swym na wpół zapomnianym przyjacielu z Europy, postanowił tam spędzić pozostałe mu lata życia, ciesząc się drugą młodością, którą zapewnił sobie dzięki spokojowi, właściwej opiece i dziecię.

Coraz rzadziej widywano go w Red Hook, coraz częściej zaś w towarzystwie, w jakim się obracał. Policjanci zauważyli tendencję do coraz częstszych spotkań grup przestępczych w starym, kamiennym kościele - tancbudzie, miast w posesji, przy Parker Place, choć to ostatnie miejsce i najnowsze nabytki Suydama bez przerwy tętniły odrażającym, parszywym życiem.

Nieoczekiwanie miały miejsce dwa wydarzenia - dość odległe od siebie, ale z punktu widzenia Malone'a nader istotne dla całej sprawy. Pierwszym było zamieszczenie w "Eagle'u" niewielkiego zawiadomienia o zaręczynach Roberta Suydama z panną Cornelią Gerritsen z Bayside, młodą kobietą, z bardzo dobrze sytuowanej rodziny, spokrewnioną dalece ze swym posuniętym w lalach narzeczonym. Drugim był nalot policji na kościół - tancbudę, po otrzymaniu doniesienia, iż przez krótką chwilę w jednym z piwnicznych okien budowli widać było twarzyczkę porwanego dziecka.

Malone również brał udział w tym nalocie i znalazłszy się w środku, wyjątkowo uważnie przetrząsnął całe to miejsce. Nic jednak nie znaleziono - budynek zastano całkowicie opuszczony, niemniej jednak sensytywnego Celta zaniepokoiło wiele rzeczy na jakie tam natrafił. Znajdowały się tu prymitywnie malowane kasetony, które nie przypadły mu do gustu - kasetony przedstawiające oblicza świętych, zastygłe w zadziwiająco doczesnych i sardonicznych grymasach, niekiedy lak libertyńskich, że nawet laik ze swym poczuciem dobrych obyczajów, musiałby się zmieszać, nie spodobała mu się również grecka inskrypcja na ścianie, nad kazalnica, prastara inkantacja, na którą natknął się jeszcze w Dublinie, będąc na studiach, i którą przeczytawszy natychmiast sobie przełożył:

*"O przyjacielu i towarzyszu nocy, ty który radujesz się ujadaniem psów i przelaną krwią, który wędrujesz między grobami, pośród najgłębszych cieni, który pragniesz krwi i sprowadzasz na śmiertelników dojmującą zgrozę, Gorgo, Normo, księżycu o tysiącu twarzy, spojrzij przychylnie na nasze ofiary!"*

Czytając te słowa, zadrżał i mimowolnie przypomniał sobie jak wydawało mu się, że słyszał jazgoczące, atonalne dźwięki organów dobiegające w niektóre noce z podziemi kościoła. Ponownie się wzdrygnął widząc rdzę wokół podstawy metalowego naczynia stojącego na ołtarzu i znieruchomiał nerwowo, kiedy jego nozdrza wychwyciły osobliwy i upiorny fetor dochodzący z niedaleka. Wspomnienie organów nie dawało mu spokoju i nim opuścił kościół, ze szczególną wytrwałością przetrząsnął całą piwnicę. Miejsce to wydawało mu się szczególnie plugawe - ale czy bluźniercze malowidła i inskrypcje mogły być "dziełem" jakiegoś obłąkańczego ignoranta?

Do czasu ślubu Suydama, epidemia porwań stała się popularnym tematem brukowych czasopism. Większość ofiar

stanowiły dzieci z ubogich rodzin, ale rosnąca liczba zaginięć spowodowała reakcję w postaci fali niepohamowanego gniewu. Gazety domagały się zdecydowanych działań ze strony policji i raz jeszcze komisariat przy Butler Street wysłał swoich ludzi do Red Hook w poszukiwaniu śladów, przestępców i możliwych rozwiązań kłopotliwej afery.

Malone cieszył się, że znów był w akcji i wziął udział w nalocie na jeden z domów Suydama, w Parker Place. Rzecz jasna nie znaleziono tam żadnego dziecka, pomimo doniesień o krzykach i czerwonej wstążki, na którą natrafiono nieopodal posesji, niemniej jednak malowidła i prymitywnie wykonane inskrypcje na łuszczących ścianach w większości pokoi upewniły detektywa, iż był na tropie czegoś naprawdę wielkiego i przerażającego.

Malowidła były zatrważające - odrażające monstra wszelakich kształtów i rozmiarów, istne parodie ludzkich sylwetek, których nie sposób opisać. Inskrypcje miały czerwoną barwę, litery zaś były arabskie, greckie, rzymskie i hebrajskie. Malone nie był w stanie odczytać większości napisów, ale to co zdołał rozszyfrować było dostatecznie złowieszcze i kabalistyczne. najczęściej powtarzającym się mottem była inskrypcja hebrajsko-hellenistyczno-grecka, stanowiąca jedno z najbardziej przerażających przywołań demonów z okresu aleksandryjskiej dekadencji:

*"Bel. Belohm. Sother. Emmanuel. Sabaoth. Uglu. Tetragrammaton. Aghros. Dtheos. Ishnros. Athanatos. Jehova. Ra. Adonai. Sadan. Bomodsion. Messias. Szcherehehe"*

Przy każdym z ramion napisu znajdowały się kręgi i pentagramy, świadczące niezbiec o prastarych wierzeniach i aspiracjach nędzników, którzy tu zamieszkiwali. Najdziwniejszą jednak rzecz odkryto dopiero w piwnicy: stertę sztabek czystego złota nakrytą niedbale płachtą brezentu; na ich błyszczącej powierzchni widniały te same, hieroglify, które zdobiły ściany domu. Podczas nalotu policja napotkała jedynie bierny opór ze strony skośnookich orientalnych cudzoziemców, których mrowie wylewało się z każdych drzwi, nie znalazłszy żadnych istotnych śladów, policja musiała wycofać się z kwitkiem, ale kapitan z komisariatu przy Butler Street zostawił dla Suydama kartkę z powiadomieniem, by zwracał nieco baczniejszą uwagę na lokatorów i protegowanych, których gościł w progach swojej posesji, gdyż opinia publiczna była nimi coraz bardziej zaniepokojona i sprawa zaczynała robić się kłopotliwa.

---

[<- Rozdział 3] [Początek] [Rozdział 5 ->]

5

Nadszedł czerwiec, a wraz z nim ślub i wielka sensacja. Około południa Flatbush wręcz tętniło życiem, udekorowane pojazdy blokowały uliczki w pobliżu starego, holenderskiego kościoła, gdzie markizy ciągnęły się od drzwi, aż do szosy.

Żadne lokalne wydarzenie nie było w stanie przyćmić tonem i skalą ślubu Suydam - Gerritsen, a nowożeńców odprowadzały na nabrzeże Cunard prawdziwe tłumy. Po pożegnaniu, o godzinie piątej, ciężki liniowiec odbił od nabrzeża, po czym z wolna skierował swój dziób w stronę rozległej połaci morza, wyruszając w rejs ku brzegom i cudom Starego Świata. Wieczorem na redzie nie było innych jednostek i pasażerowie liniowca obserwowali gwiazdy migoczące nad nieskażoną tonią oceanu.

Nie sposób stwierdzić co - jako pierwsze - zwróciło na siebie uwagę pasażerów - głośny wrzask, czy też pojawienie się trampa - parowca. Prawdopodobnie jedno i drugie, nie mniej w tym przypadku wszelkie rozważania mijają się z celem. Krzyk dobiegał z kajuty Suydamów, a marynarz który wyważył drzwi, mógłby zapewne opowiedzieć o przerażających rzeczach - gdyby nie fakt, iż popadł w obłęd. Nieszczęśnik wrzeszcząc, zaczął biegać po całym statku, dopóki go nie schwytano i nie zamknięto związanego, pod kluczem. Lekarz okrętowy, który wszedł do kajuty i zapalił światło w chwilę później, nie oszalał, ale nie powiedział nikomu o tym co wówczas zobaczył; uczynił to dopiero później prowadząc korespondencję z Malonem przebywającym w Chepachct. Miało tu miejsce morderstwo - ściśle mówiąc uduszenie, ale nie należało rozgłaszać, iż ślady szponów na szyi pani Suydam nie mogły być dziełem jej męża, ani czyjejkolwiek ludzkiej dłoni, ani że na białej ścianie przez krótką chwilę migotał, skrzący się wściekłą czerwienią napis, wykonany nie inaczej, lecz owymi przerażającymi chaldejskimi literami układającymi się w słowo "Lilith". nie należało wspominać o tych rzeczach, gdyż bardzo szybko zniknęły, a co do Suydamów, najlepszym rozwiązaniem było nie dopuszczanie do ich kajuty postronnych osób; cała sprawa i tak była dostatecznie kłopotliwa.

Doktor wyraźnie powiedział Malone'owi, że Tego nie widział.

Otwarty bulaj, na chwilę przed tym jak włączył światło, zasnuwała dziwna fosforescencja i mogło się wydawać, że przez sekundę, w ciemności nocy, na zewnątrz rozbrzmiewało echo słabnącego, diabelskiego chichotu; oko doktora nie wychwytiło jednak żadnych realnych kształtów. Zdaniem lekarza, dowodem na to jest fakt, iż wciąż jeszcze pozostaje przy zdrowych zmysłach.

I wtedy uwagę wszystkich przykuło pojawienie się parowca. Łódź przybiła do burty liniowca i na pokład weszła grupa śmiałych, butnych zbójów w mundurach oficerskich. Zażądali wydania Suydama - lub jego zwłok. Wiedzieli o jego podróży i z jakichś powodów byli przekonani, że starzec musi umrzeć, na pokładzie kapitańskim zapanowało istne pandemonium - przez krótką chwilę, pomiędzy raportem doktora z kajuty nowożeńców a żądaniem ludzi z trampa, nawet najrozsądniejszy i najroztropniejszy z marynarzy był kompletnie zбитy z tropu, i nie miał pojęcia co robić. Naraz przywódca nieoczekiwanych gości. Arab o nienawistnych, negroidalnych ustach

wyjął brudną, zmiętą kartkę papieru i podał kapitanowi. Była podpisana przez Roberta Suydama i widniała na niej dziwna notatka, następującej treści:

*"W przypadku gdyby spotkał mnie nagły wypadek lub śmierć proszę bezspornie przekazać mnie, lub moje ciało doręczycielowi tej notatki i jego współtowarzyszom. Zarówno dla mnie jak i dla pana wszystko zależy teraz od spełnienia mej prośby, na wyjaśnienia będzie czas później - proszę mnie nie zawieść. Robert Suydam."*

Kapitan i doktor spojrzeli po sobie nawzajem, zaś ten drugi, wyszeptał coś cicho do pierwszego. Koniec końców pokiwali raczej bezradnie głowami i ruszyli w kierunku kajuty Suydama. Doktor spojrzeniem nakazał kapitanowi odwrócić wzrok, po czym otworzył drzwi i wpuścił do środka osobliwych marynarzy. Nie odetchnął spokojniej, dopóki, obarczeni ciężkim brzemieniem, nie opuścili kajuty po ciągnących zdawałoby się w nieskończoność, czynnościach przygotowawczych.

Ciało owinięte zostało w prześcieradła zdarte z koi, a doktor z zadowoleniem stwierdził, iż jego obecny wygląd nie zdradzał zbyt wiele. Jakims sposobem śniadolicy marynarze zdołali przerzucić je przez burtę i szczerlnie owinięte dostarczyć na pokład trampa.

Liniowiec znów uruchomił silniki, zaś doktor i oficer pokładowy, zajmujący się czynnościami pogrzebowymi ponownie weszli do kajuty Suydama, by dopełnić ostatniej posługi wobec pozostawionej na pokładzie kobiety. Lekarz raz jeszcze został zmuszony do zachowania milczenia, a właściwie musiał posunąć do kłamstwa, z powodu przerażającej rzeczy jaka miała miejsce. Kiedy oficer odpowiedzialny za czynności pogrzebowe zapytał go dlaczego opróżnił ciało pani Suydam z krwi, nie zaprzeczył, że tego nie uczynił, ani też nie wskazał na puste miejsca na stojakach, gdzie znajdowały się butelki.

Nie zwrócił również uwagi na smród bijący ze zlewu, świadczący o pośpiechu w jakim opróżniono butelki z ich oryginalnej zawartości. Kieszenie tych ludzi - jeżeli w ogóle byli ludźmi, kiedy opuszczali statek - wydawały się dziwnie pękate, jakby powypychane. Dwie godziny później, świat dowiedział się przez radio wszystkiego, czego powinien w związku z tym przerażającym zdarzeniem.

---

[<- Rozdział 4] [Początek] [Rozdział 6 ->]

6

Tego samego czerwcowego wieczoru, nieświadomy wydarzeń jakie rozegrały się na morzu. Malone niemal rozpaczliwie szalał na uliczkach Red Hook. Wydawało się, iż cała dzielnica niesłychanie się ożywiła, jak gdyby wszyscy mieszkańcy jakimś sposobem dowiedzieli się o czymś osobliwym i obecnie tłumy ich zbierały się wokół kościoła - tancbudy i domów na Parker Place. Zniknęły kolejne dzieci - tym razem trójka niebieskookich Nlornegów zamieszkałych przy ulicach niedaleko Gowanus. Krążyły plotki, że nieustępliwi Wikingowie z tego kwartału poczęli tworzyć organizację zbliżoną do mafii. Malone od tygodni nakłaniał swoich kolegów do przeprowadzenia generalnej czystki i ostatecznie, wskutek czynników bardziej do nich przemawiających niż domysły marzyciela z Dublina, zgodzili się na ostateczny atak. Czynnikiem owym był niepokój i niemal namacalne uczucie zagrożenia, jakie zdawało się emanować zewsząd owego wieczora. Około północy, grupa operacyjna złożona z policjantów zebranych z trzech komisariatów ruszyła na Parker Place i okoliczne uliczki. Wyważano drzwi, aresztowano tych, którzy usiłowali stawiać opór, a z przeszukiwanych pomieszczeń beceremonialnie wyrzucano niewygodne tłumy cudzoziemców w ozdobnych szatach i mitrach, zaopatrzonych w różne dziwne przedmioty niewiadomego zastosowania. Wiele z nich zginęło w ogólnym chaosie, wrzucane pośpiesznie do sekretnych schowków i przemyślnie zakamuflowanych szybów, a podejrzany fetor niknął w oparach zapalanych czym prędzej wonnych kadzidełek. Wszędzie jednak widniały ślady rozbryźniętej krwi, a Malone wzdygał się za każdym razem, kiedy spotrzągał kosz kokosowy albo ołtarz z którego wciąż jeszcze unosiły się kłęby dymu. Chciał być w kilku miejscach na raz, a zdecydował się, że weźmie udział w nalocie na dom Suydama, kiedy posłaniec doniósł, że w starym kościele, pełniącym również funkcję tancbudy, nie ma żywego ducha. Wiedział, iż w domu Suydama znajdzie jakieś ślady kultu, którego, zafascynowany kultyzmem stary uczoney, stał się przywódcą i duszą. Co do tego nie miał najmniejszej wątpliwości. Z uczuciem pełnego niepokoju wyczeki-wania i nadziei przeszukiwał zżerane przez wilgoć i grzyb pokoje, zwrócił uwagę na unoszący się w nich słaby, acz zauważalny fetor krwi i śmierci, oglądał osobliwe kręgi, artefakty, sztabki złota i karafki porzucone to tu, to tam. W pewnej chwili chudy, czarnobiały kot przebiegł mu między nogami i Malone stracił równowagę. Upadł przewracając przy tym puchar wypełniony do połowy szkarłatnym płynem. Szok był ogromny; po dziś dzień Malone nie był pewny co właściwie zobaczył - niemniej jednak, w snach wciąż jeszcze widzi tego kota, umykającego z czymś nieopisanie potwornym i zdeformowanym, w pyszczku. niedługo potem dotarł do zamkniętych drzwi piwnicy i zaczął szukać czegoś, czym mógłby je wyważyć. Opodał stał ciężki taboret, a jego twarde siedzenie było aż nadto nastarczające, by uporać się ze starym drewnem. Parę uderzeń i w drzwiach pojawiła się szczelina, po następnych powiększyła się, aż w końcu całe drzwi runęły. Magle, jakby pod naporem "czegoś" z drugiej strony, z wnętrza pomieszczenia buchnął podmuch zawodzącego, lodowatego wichru, niosącego ze sobą fetor bezkresnej, mrocznej, bezdennej otchłani, a w chwilę póź niej nieziemska i nie niebiańska ssąca moc, oplotła niewidzialnymi splotami sparaliżowanego detektywa i wciągnęła go do środka, a potem jeszcze dalej, w głąb niezmiernych przestrzeni, wypełnionych jękami, szeptami i wybuchami drwiącego, szyderczego śmiechu.

Oczywiście był to tylko sen. Mówili mu tak kolejni specjaliści, do których się zgłaszał. W gruncie rzeczy pewnie by się z nimi zgodził, gdyby nie to, że widok starych, ceglanych slumsów i ciemnych, cudzoziemskich twarzy wgrzył mu się zbyt głęboko w duszę. Wszystko co widział, i czego doświadczył było przeraźliwie realne i nic nie mogło przyćmić wspomnienia tych mrocznych, nocnych krypt, gigantycznych arkad i na wprost uformowanych piekielnych

kształtów, które przechadzały się wielkimi krokami, dzierżąc w swym uścisku na wpół pożarte, ale wciąż jeszcze żywe istoty, błagające o litość, albo zaśmiewające się obłąkańczo. Woń zgnilizny, rozkładu i kadzidełek przyprawiała o mdłości, a czarne powietrze tętniło życiem, wypełnione mglistymi, na wpół widzialnymi bezcielesnymi istotami, które miały oczy. Gdzieś tam, mroczne, oleiste fale biły w onyksowe skały nabrzeża, a raz, przyprawiające o dreszcze dzwonienie maleńkich, ochrypłych dzwoneczków splotło się z szaleńczym chichotem nagiej, fosforescencyjnej Istoty, która nagle pojawiła się w polu widzenia detektywa. Podpłynęła do brzegu, wdrapała się nań i w chwilę potem wślizgnęła na stojący nieopodal ozdobnie rzeźbiony złoty piedestał, gdzie przycupnęła, szczerząc zęby w dzikim, drwiącym grymasie.

Alejki bezkresnej nocy zdawały rozciągać się we wszystkich kierunkach i można było sobie wyobrazić, że tutaj właśnie tkwiły korzenie plagi, której celem było skażenie i pochłanianie kolejnych miast, spowijanie całych narodów fetorem hybrydycznej zarazy.

To tu po raz pierwszy pojawił się kosmiczny grzech, i pienił się, gnijąc w najlepsze dzięki bluźnierczym rytuałom, zapoczątkowującym radosny marsz śmierci. To tu Szatan miał swój babiloński dwór, a Lililh obmywała swe fosforyzujące, trawione trądem ciało we krwi niewinnych dzieci.

Inkuby i sukuby zawodziły chwalebne pieśni na cześć Hekate, a bezgłowe cielaki beczwały do Magna Mater. Kozły baraszkowały w rytm muzyki cienkich przeklętych fletów, a egipany uganiały się bez końca za zdeformowanymi faunami, skacząc po kamieniach, skręconych i wielkich niczym nabrzeża ropuchy, nie zabrakło też Molocha i Asztarota - w tej bowiem kwintesencji wszelkiego występku i potępienia zerwane zostały okowy świadomości, i człowiek był w stanie dojrzeć każdą istniejącą krainę grozy i wszystkie zakazane wymiary, powstałe z mocy zła. Świat i natura były bezradne wobec tego typu ataków płynących z otwartej studni nocy, podobnie jak żaden święty znak czy modlitwa nie były w stanie powstrzymać walpurgicznej feerii koszmarów, która rozpętała się, gdy Suydam natknął się na hordeę, w zamkniętym - niczym puszką PANDORY - pełnym po brzegi kufrem emanującym demoniczną wiedzą.

Magle gromadę zjaw omiółł i przeciął strumień fizycznego światła, a Malone poprzez potok bluźnierstw istot, które powinny być martwe, usłyszał wyraźny plusk wiosła. W jego polu widzenia pojawiła się łódź, z latarnią na dziobie; przycumowała do żelaznego kołka w wilgotnym, oślizgłym kamiennym nabrzeżu i wyrzygała z siebie kilku ciemnoskórych ludzi dźwigających długi przedmiot zawinięty w prześcieradła. Dostarczyli ciężkie brzemie nagiej fosforescencyjnej Istocie na rzeźbionym złotym piedestale, a ta głośno zachichotała i delikatnie dotknęła dłonią zawiniątka. Tragarze zdjęli prześcieradła i przytrzymali przed piedestałem, w pozycji stojącej, nadzartego gangreną trupa korpulentnego staruszka o szczecińskiej brodzie i rozwichrzonych, siwych włosach. Fosforyzująca Istota ponownie zachichotała, a mężczyźni wyjęli z kieszeni flaszki i oblali stopy stworzenia czerwonym płynem, po czym podali mu następne butelki, aby mógł się napić.

W jednej sekundzie, z otoczonych po obu stronach arkadami bezkresnych alejek, dobiegło demoniczne rżenie i zawrocie bluźnierczych, rozstrojonych organów, wyrażające w sardonicznych, jękliwych basowych nutach całą drwinę, szyderstwo i okrucieństwo piekła. Wszystkie poruszające się widma i demony zareagowały natychmiast, tworząc długi, upiorny ceremonialny korowód; przerażający pochod wyruszył w kierunku skąd dobywał się dźwięk - satyry, egipany, inkuby, sukuby i lemury, zdeformowane ropuchy i bezcielesne duchy, psiogłowe wyjce i milczące stworzenia kroczące w ciemności - wszystkie one, podążały w ślad za fosforyzującą Istotą, która zeszła ze złotego piedestału, a teraz stąpała wolno, unosząc na rękach szkliskie zwłoki mężczyzny.

Orszak zamykali tańczący śniadolicy mężczyźni, cały zresztą korowód tańczył, podskakiwał i szalał z iście dionizyjską zaciętością. Malone zrobił chwiejnie kilka kroków. Był oszołomiony, otepiały i bliski utraty zmysłów. Zżerały go wątpliwości co do jego miejsca, lak w tym, jak i w każdym innym ze światów. W chwilę potem odwrócił się, zachwiał i osunął na zimne, wilgotne kamienie, z trudem chwytając powietrze i dygocząc na całym ciele, podczas gdy demoniczne ograny stękały upiornie, a zawrocie oraz dźwięk bębnow i dzwoneczków szalonej procesji, cichły coraz bardziej, w oddali.

Jak przez mgłę słyszał upiorny śpiew oraz przyprawiające o zgrozę wrzaski i skrzeczenia, rozlegające się gdzieś pośród mrocznych arkad. Od czasu do czasu dochodził go przeciągły jęk czy pełne ceremonialnego oddania zawrocie, aż w końcu usłyszał ową przeraźliwą, grecką inkantację, której tekst przeczytał ponad kazalnica w starym kościele - tancbudzie:

*"O przyjacielu i towarzyszu nocy, ty który radujesz się ujadaniem psów  
(tu dało się słyszeć wściekle skowytanie) z przelaną krwią,  
(bezimiennie dźwięki przeplatające się z upiornymi krzykami),  
który wędrujesz między grobami, pośród najgłębszych cieni,  
(tu rozległo się syczące westchnienie)  
który pragniesz krwi i sprowadzasz na śmiertelników dojmującą zgrozę,  
(krótkie, ostre okrzyki dobywające się z niezliczonych gardła)  
Gorgo,  
(powtórzona odpowiedź)  
Mormo,  
(powtórzone z ekstazą)  
księżycu o tysiącu twarzy,  
(westchnienia i dźwięki fletu)  
Spójrz przychylnie na nasze ofiary!"*



Kiedy pieśń dobiegła końca, dał się słyszeć pojedynczy, gromki okrzyk, a syczące dźwięki niemal całkowicie zagłuszyły jęk rozstrojonych organów. Po sekundzie rozległo się głośne westchnienie, po czym nieskończona rzesza, istna wieża bąbel rozmaitych gardeł połączyła się wypluwając z siebie warkotliwe, beczące, zjadliwe słowa:

*"Lilith, Wielka Lilith, spojrzysz na Twego Oblubieńca!" Kolejne okrzyki, dziwny hałas, tupot kroków biegnącej postaci. Odgłos przybliżył się i Malone podniósł się na łokciu, aby się przyjrzeć.*

Oświetlenie w krypcie, które ostatnio nieco osłabło, znów przybrało na sile, i w owym upiornym, diabelskim blasku pojawiła się sylwetka uciekającego; postaci, która nie powinna móc biec, odczuwać ani w ogóle oddychać: szklisko, gangrenicznego trupa korpulentnego starca, którego nie musiano już podtrzymywać, a którego animowały jakieś piekielne czary zakończonych przed chwilą rytuału. Tuż za nim biegła naga chichocząca, fosforyzująca Istota, należąca do rzeźbionego piedestału, a jeszcze dalej, zdyszani, śniadolicy mężczyźni i odrażająca czereda koszmarnych, bardziej lub mniej efemerycznych postaci.

Trup wysforował się znacznie naprzód i, jak wszystko na to wskazywało, zmierzał ku określonej celowi, ściślej zaś mówiąc, ku rzeźbionemu, złotemu piedestałowi, obiektowi posiadającemu niewątpliwie ogromne znaczenie nekromantycznej natury. Gnał ku niemu, co sił, na swych przeżartych zgnilizną kończynach. Jeszcze chwila i dopadł celu, podczas gdy ścigająca go zgraja wyraźnie i rozpaczliwie przyspieszyła. Spóźnili się jednak, gdyż ostatnim wysiłkiem - zrywając przy tym jedno ścięgno po drugim i tracąc całe płyty tkanek, które spadały na ziemię niczym trawiona rozkładem galareta, zapatrzony w dal trup, będący ongi Robertem Suydamem, osiągnął swój cel i triumf. Pchnięcie było potężne i pomimo ciężaru obiektu, odniosło skutek, a gdy pchający osunął się na kamienie, zmieniony w bezkształtną masę przegniłego ciała i kości, złoty piedestał zachwiał się, przechylił i runął z onyksowej podstawy w mroczne oleiste odmęty. Gdy spadał, jego rzeźbiona, złota powierzchnia, rozbiła się po raz ostatni, a potem wielki piedestał pograżył się ciężko w bezdennej czeluści niższego Tartaru. W tej samej chwili, Malone przestał widzieć cokolwiek, koszmarna scena rozmyła się w szarawą plamę i detektyw stracił przytomność, choć w jego uszach jeszcze przez chwilę rozbrzmiewał przeraźliwy huk, który zdawał się towarzyszyć zagładzie całego Uniwersum Zła.

---

[<- Rozdział 5] [Początek] [Rozdział 7 ->]

7

Sen Malone'a, przeżyty w pełni, zanim detektyw dowiedział się o śmierci Suydama i transferze na morzu, został osobliwie uzupełniony kilkoma dziwnymi faktami, związanymi ze sprawą, aczkolwiek nie ma najmniejszych podstaw, aby ktokolwiek miał w nie uwierzyć. Trzy stare domy w Parker Place, bez wątplenia od dawna już przeżarte zgnilizną i rozkładem w jego najbardziej zdradzieckiej formie, zawały się, bez widocznej przyczyny, podczas gdy wewnątrz znajdowała się połowa przeprowadzających nalot policjantów i większość więźniów. Prawie wszyscy zginęli na miejscu.

Uratowali się jedynie ci, którzy znajdowali się w piwnicach i suterrenach - Malone zaś, miał szczęście, że przebywał wówczas głęboko w podziemiach domu Roberta Suydama. Bo rzeczywiście tu był - nikt nie mógł temu zaprzeczyć. Znalaziono go, nieprzytomnego, na skraju czarnej jak noc sadzawki z leżącym o kilka stóp od niego groteskowym, acz przerażającym stosem przeżartych zgnilizną tkanek i kości, zidentyfikowanych później, dzięki ekspertyzie dentystrycznej, jako zwłoki Roberta Suydama.

Sprawa była oczywista - to właśnie tu prowadził podziemny kanał przemytników, ludzie zaś, którzy zabrali ciało Suydama ze statku sprowadzili je do domu. Ludzi tych nigdy nie odnaleziono, ani nawet nie zidentyfikowano, zaś lekarz okrętowy nie wydaje się jak na razie zadowolony z przeświadczeń policji.

Suydam był -jak wszystko na to wskazuje - przywódcą sporej siatki przemytników szmuglujących nielegalnych imigrantów, a kanał wiodący do jego domu był tylko jednym korytarzem z ogromnego kompleksu podziemnych tuneli, przecinającego całą dzielnicę. Inny kończył się w krypcie pod starym kościołem - tancbudą, do której prowadziło jedyne sekretne przejście, wykute w północnej ścianie, gdzie odkryto nader osobliwe i odrażające rzeczy. Znajdowały się tam rozstrojone organy, oraz kaplica o kopułowym sklepieniu, z wieloma rzędami drewnianych ławek i ołtarzem ozdobionym dziwnymi figurami. Wzdłuż ścian umieszczonych było siedemnaście niewielkich cel, w których - cóż za koszmar - znalaziono pojedynczych, zakutych w kajdany, pozbawionych zmysłów więźniów; były wśród nich cztery matki z podejrzanie dziwnie wyglądającymi dziećmi. Dzieci te zmarły zresztą, gdy tylko wyniesiono je na światło dzienne, co lekarze uznali za przejaw miłosierdzia bożego.

Spośród tych, którzy je badali nikt prócz Malone'a nic przypomniał sobie posępnego pytania Delrio:

*"An sint unquam daemones incubi et succubae, et an ex tali congressu proles nasci a queat?"*

Zanim kanały zostały zasypane, starannie je wybagrowano i wydobyto szokujące ilości ludzkich kości, zarówno pogruchotanych, jak i poprzecinanych ostrymi narzędziami. Tym samym odkryto rozwiązanie zagadki tajemniczej epidemii porwań, choć tylko dwóm ocalałym aresztantom można było postawić jakiegokolwiek zarzuty. Obecnie znajdują się oni w areszcie, gdyż nie zdołano im udowodnić współudziału w zabójstwie.

Rzeźbionego, złotego piedestału czy też tronu, o którym tak często wspominał Malone, pomimo szeroko

zakrojonych poszukiwań nie udało się odnaleźć, aczkolwiek stwierdzono, iż w jednym miejscu, pod domem Suydama, kanał był zbyt głęboki, aby można go było wybagrować.

Koniec końców, kiedy wznoszono piwnice nowych domów, wejścia do kanałów zostały zasypane i zamurowane; ale Malone często zastanawiał się co znajduje się w ich głębinach. Policja, zadowolona, że udało im się rozbić niebezpieczny gang szaleńców i przemytników szmuglujących nielegalnych imigrantów, przekazała uwolnionych od oskarżeń Kurdów władzom federalnym, które przed dokonaniem ich deportacji stwierdziły, iż wszyscy oni należeli do Yezydów, perskiego klanu czcicieli Szatana. Okrętu - trampa i jego załogi nigdy nie odnaleziono, choć cyniczni detektywi są ponownie gotowi stanąć do walki z tymi przemytnikami rumu i ludzi. Malone uważa, iż wykazują oni pożałowania godne ograniczenia w rozumowaniu, gdyż nie zastanawiają się nad całą masą niewyjaśnionych szczegółów i rzucającymi się w oczy niejasnościami całej sprawy; podobnie krytycznie odnosi się do gazet, które dostrzegły w aferze jedynie posępną, krwawą sensację i napawały się informacjami o pomniejszym, sadystycznym kulcie, podczas gdy mogły wydrukować na swych łamach artykuły o koszmarze z samego jądra wszechświata. Póki co jednak, detektyw przebywa na rekonwalescencji w Chepachel, uspokajając stargane nerwy i modląc się, by czas stopniowo przeniósł jego przerażające przeżycia ze sfery posępnej teraźniejszości w odległą dal obrazowej i na wprost mitycznej przeszłości.

Robert Suydam spoczywa obok swej małżonki na cmentarzu Greenwood. Nad jego szczątkami, odnalezionymi w tak osobliwy bądź co bądź sposób, nie odprawiono ceremonii pogrzebowej, zaś krewni z wdzięcznością przyjęli fakt, iż o całej sprawie bardzo szybko zapomniano. Nigdy zresztą nie udowodniono, że stary uczony miał jakiś związek z koszmarnymi wydarzeniami w Red Hook.

O jego śmierci mówi się raczej niewiele, a Suydamowie mają nadzieję, że dla potomności pozostanie on jedynie łagodnym odludkiem, który interesował się folklorem i parał niegroźną odmianą magii.

Jeżeli chodzi o Red Mook, nic się tu nie zmieniło. Suydam pojawił się i odszedł - koszmar wydarzył się i przeminął, jednak zły duch ciemności i plugastwa nadal pleni się pośród mieszkańców starych ceglanych kamienic, a bandy opryszków w dalszym ciągu paradują w nieznanym celu przed oknami, w których pojawiają się i znikają niezliczone, zdeformowane twarze, a światła to zapalają się, to znowu gasną.

Wiekowy koszmar jest niczym tysiącgłowa hydra, a kultury ciemności zakorzeniły się pośród bluźnierstw głębiej niż wiedza Demokryta. Dusza bestii jest wszechobecna i triumfuje, zaś zamieszkałe w Red Mook legiony mętnookich, przyszczytanych młodzieńców, nadal śpiewają, przeklinają i zawodzą podążając od jednej otchłani do drugiej, nie wiadomo dokąd ani skąd, gnani prawem biologii, których być może nigdy nie będzie im dane zrozumieć. Jak dawniej, więcej ludzi przybywa do Red Hook, niż je opuszcza, a plotki mówią o nowych kanałach, prowadzących pod ziemią do zakamuflowanych centrów handlu alkoholem i innymi, mniej sprecyzowanymi towarami.

Kościół praktycznie zupełnie przestał pełnić swą zasadniczą funkcję i do reszty zmienił się w tancbudę, i bywa, że w jego oknach nocami pojawiają się dziwne twarze. Miejscowy policjant wyraził ostatnio przypuszczenie, iż stara, zasypkana krypta została na nowo odkopana, choć nie sposób stwierdzić, w jakim celu mianoby to uczynić. Kimże jesteśmy, aby zwalczać trucizny starsze niż historia i ludzkość? W Azji, w takt tych koszmarów tańczyły małpy, a w przeżartych grzybem, pleśnią i zgnilizną murach ceglanych kamienic, gdzie sekrety i tajemnice są na porządku dziennym, rak może spokojnie się ukrywać i pnieć w najlepsze.

Malone nie wzdraga się bez powodu - któregoś dnia, jeden z policjantów podsłuchiwał jak pewna skośnooka, śniadolica wiedźma, ukryta wraz z małą dziewczynką w cieniu jednej z bram, szeptem uczyła dziecko pewnej nader dziwacznej inkantacji.

Wyteżył słuch i uznał za wielce osobliwe słowa, które zdawała się powtarzać bez końca:

*"O przyjacielu i towarzyszu nocy, ty, który radujesz się ujadaniem psów i przelaną krwią, który wędrujesz między grobami, pośród najgłębszych cieni, który pragniesz krwi i sprowadzasz na śmiertelników dojmującą grozę: Gorgo, Mormo, Księżycu o tysiącu twarzy, spojrzij przychylnie na nasze ofiary!"*

**Autor:** Howard Phillips Lovecraft